



JOHN JAKES

PÓŁNOC I POŁUDNIE

ROZDARTY KRAJ, ZAGROŻONE PRZYJAŹNIE,
ROZDZIELENI KOCHANKOWIE



ALBATROS

Tytuł oryginału:
NORTH AND SOUTH

Copyright © 1982 by John Jakes
All rights reserved

Published by arrangement with the author, clo REMCUR, LLC, P.O. Box 908,
Croton Falls, New York 10519, USA

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Mieczysław Dutkiewicz 1991

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Ilustracje na okładce: Frame Art/Shutterstock.com (*ornamenty*); bins/Shutterstock.com (*postacie*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rok 1686. Chłopiec węglarza

– Chłopiec powinien wreszcie przyjąć moje nazwisko – powiedział Windom po kolacji. – Już najwyższa pora.

Był to jego czuły punkt; wracał do tej sprawy zawsze, kiedy wypił za dużo. Siedząca przy kominku matka chłopca zamknęła Biblię, która leżała na jej kolanach.

Bess Windom jak co wieczór czytała po cichu. Obserwując ruchy jej warg, chłopiec widział, z jakim trudem jej to przychodzi. Kiedy Windom przerwał milczenie, dojrnęła właśnie do swojego ulubionego wersetu z piątego rozdziału Ewangelii św. Mateusza: *Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie**.

Chłopiec, Joseph Moffat, siedział oparty plecami o róg kominka i strugał małą łódź. Miał dwanaście lat i – podobnie jak matka – krępą budowę ciała, szerokie ramiona, jasnobrązowe włosy i błękitne oczy, które niekiedy wydawały się pozbawione wszelkiej barwy.

Wiosenny deszcz bębnił o dach kryty strzechą. Windom rzucił na pasierba posępne spojrzenie. Tuż pod oczami mężczyzny widniały smugi węglowego pyłu, brud wyzierał też spod połamanych paznokci. Windom miał czterdzieści lat i był nieudacznikiem. Kiedy akurat się nie upił, rąbał drewno, a potem przez dwa tygodnie wypalał je w stosach wysokich na kilka metrów. W ten sposób sporządzał węgiel drzewny do małych pieców rozrzuconych wzdłuż rzeki. Była to praca brudna i poniżająca; kobiety z sąsiedztwa utrzymywały najmłodsze dzieci w ryzach, strasząc je, że jeśli nie przestaną się źle zachowywać, to przyjdzie węglarz i je zabierze.

Joseph nie odezwał się ani słowem, ale uwagi Windoma nie uszło, że chłopiec wystukuje palcem wskazującym jakiś rytm na rękojeści noża. Pasierb był niezwykle

*Wszystkie cytaty z Pisma Świętego zostały zaczerpnięte z Biblii Tysiąclecia.

impulsywny i zdarzały się chwile, kiedy Windom odczuwał przed nim strach. Ale nie teraz. Przekorne, wyzywające milczenie Josepha doprowadzało ojczyma do wściekłości.

Wreszcie chłopiec przemówił.

– Mnie podoba się to nazwisko, które noszę – mruknął i zajął się wystruganą już do połowy łodzią.

– Na Boga, co za zuchwały szczeniak! – wykrzyknął Windom.

Potrącając taboret, rzucił się na pasierba. Bess stanęła między nimi.

– Zostaw go, Thad. Żaden z wiernych uczniów naszego Zbawiciela nie skrzywdziłby dziecka.

– Pytanie tylko, kto chciałby kogo skrzywdzić. Spójrz no na niego!

Joseph stał oparty plecami o kominek. Oddychał szybko ze wzrokiem utkwionym w ojczyma, w dłoni, na wysokości pasa, ścisnął nóż, gotów do zadania ciosu.

Windom powoli otworzył pięść, cofnął się niepewnym krokiem i ustawił przewrócony taboret. Jak zwykle to Bess cierpiała najbardziej, kiedy strach i uraza chłopca kierowały się przeciw ojczymowi. Joseph znowu usiadł przed kominkiem, zastanawiając się, jak długo jeszcze wytrzyma.

– Mam już dosyć tego gadania o twoim Bogu – powiedział do żony Windom. – Zawsze mówisz, że jest gotów wysłuchać każdego biedaka. Twój pierwszy mąż był głupcem, skoro zginął za coś takiego. Jeśli twój umiłowany Jezus ubrudzi sobie kiedyś ręce przy moim węglu, zacznę w niego wierzyć, ale na pewno nie wcześniej.

Sięgnął po zieloną butelkę ginu.

Później, w nocy, Joseph leżał w bezruchu na sienniku przy ścianie, wsłuchując się w odgłosy dochodzące zza postrzępionej zasłony oddzielającej łóżka; Windom obrzucał jego matkę obelgami i dawał jej cięgi. Bess szlochała przez dłuższą chwilę, a chłopiec zaciskał pięści. Niebawem jednak szloch przerodził się w miarowe pojękiwanie i chrapliwe okrzyki.

Kłótnia kończy się tak jak zawsze, pomyślał cynicznie.

Nie potępiał matki za to, że pragnie odrobiny spokoju, poczucia bezpieczeństwa i miłości. Po prostu wybrała nieodpowiedniego mężczyznę, to wszystko. Skryte za zasłoną łóżko dawno już przestało skrzypieć, a Joseph wciąż leżał z otwartymi oczami, rozmyślając, jak zabić węglarza.

Nigdy w życiu nie przyjmie nazwiska ojczyma. Będzie kimś lepszym od niego. Uporem, który demonstrował, chciał wyrazić wiarę w możliwość ułożenia sobie lepszego życia. Życia takiego, jakie wiodł Andrew Archer, właściciel huty, do którego Windom oddał go dwa lata temu do terminu.

A jednak niekiedy Josepha ogarniało zniechęcenie – wtedy, gdy jego nadzieje i wiara w inne życie jawiły mu się jako czcze mrzonki. Czy było w nim coś prócz brudu? Brudne ciało, brudna dusza, nawet jego ubranie zawsze pokrywał węglowy pył, przynoszony do domu przez Windoma. I chociaż nie rozumiał, jakiego przestępstwa dopuścił się jego ojciec, za co zginął w Szkocji, nie był w stanie zmienić tego, że ten postępek ciąży również na nim.

Błogosławieni, którzy cierpią... Nic dziwnego, że matka upodobała sobie właśnie ten werset.

Ojciec – farmer o surowej, pociągłej twarzy – którego chłopiec już prawie nie pamiętał, był fanatycznym orędownikiem Kościoła prezbiteriańskiego. Zmarł z upływu krwi po długich torturach stosowanych za pomocą „hiszpańskiego buta” i śruby ściskającej kciuki. Stało się to w okresie nazywanym przez Bess „czasem mordów”: w ciągu pierwszych miesięcy sprawowania władzy przez księcia Yorku – tego samego, który nieco później wstąpił na tron królewski jako Jakub II. Księżę przysiągł, że wytepi prezbiterianów i ustanowi episkopat; chciał w ten sposób uśmierzyć nękające kraj waśnie pomiędzy religijnymi i politycznymi antagonistami.

Po krwawej śmierci Roberta Moffata jego przyjaciele pośpieszyli na farmę, aby powiadomić o tym jego żonę i skłonić ją do ucieczki. Zrobiła to wraz z jedynym synem – niecałą godzinę przed przybyciem ludzi księcia, którzy puścili z dymem całą posiadłość. Po wielu miesiącach tułaczki matka i syn dotarli wreszcie do wzgórz południowego Shropshire. Tam właśnie, będąc u kresu sił, Bess zdecydowała się pozostać.

Porośnięte lasami góryste tereny na południe i zachód od rzeki Severn, wijącej się to tu, to tam, sprawiały wrażenie sielskich i bezpiecznych. Za resztę pieniędzy wywiezionych ze Szkocji Bess wydzierżawiła chatę. Najmowała się do posług, a po dwóch latach poznała i poślubiła Windoma. Udała nawet, że przyjmuje oficjalną wiarę, bo chociaż Robert Moffat zaszczepił w żonie zapał do swojej religii, nie zdołał natchnąć jej odwagą niezbędną do stawiania oporu władzom po jego śmierci. Nowa wiara Bess wiązała się z rezygnacją w obliczu niedoli.

Była to wiara pozbawiona oparcia i wartości, co chłopiec zrozumiał już niebawem. On dążył do czegoś innego. Człowiekiem, na którym pragnął się wzorować, był obdarzony silną wolą Archer, mieszkający w wytwornym domu na wzgórzu, tuż nad rzeką, w pobliżu będącego jego własnością pieca hutniczego.

Czy stary Giles nie mówił chłopcu, że jest wystarczająco zmyślny i energiczny, by osiągnąć w życiu podobny sukces? Czy nie powtarzał tego raz po raz?

Joseph najczęściej wierzył staremu. Wierzył, dopóki nie widział u siebie czarnych obwódok pod paznokciami i nie słyszał innych terminatorów, goniących

go drwiącymi okrzykami w rodzaju: „Brudny Joe, czarny jak Murzyn!”.

Dopiero wtedy uświadamiał sobie, jak nierealne są jego marzenia, i śmiał się z własnej głupoty, aż jego wyblakłe oczy napełniały się płynącymi nieprzerwanie wstydliwymi łzami.

* * *

Stary Giles Hazard, kawaler, był jednym z trzech najważniejszych pracowników w hucie Archera. Do niego należała obsługa pieca pudlarskiego na węgiel drzewny, w którym stapiano kawałki surówki w celu usunięcia nadmiaru węgla i innych składników, czyniących żeliwo zbyt kruchym, by móc produkować z niego podkowy, obręcze na koła czy lemieszce. Giles Hazard miał gburowaty głos, a swoich pomocników i uczniów traktował jak niewolników. Przez całe życie mieszkał o dziesięć minut marszu od pieców hutniczych, a zaczął pracować przy nich w wieku zaledwie dziewięciu lat.

Ten niski, przysadzisty mężczyzna mimo swojej wagi wprost tryskał energią. Wyglądał niczym starsza wersja Josepha – i może właśnie dlatego traktował chłopca niemal jak syna.

Nie był to jednak jedyny powód. Z pewnością Joseph podobał mu się, ponieważ szybko się uczył. Giles zwrócił na niego uwagę latem, kiedy chłopiec zaczynał drugi rok terminowania u Archera. Relacjonując właścicielowi huty postępy w pracy poszczególnych terminatorów, Giles nie omieszkiał pochwalić Josepha, który zręcznie poruszał się wokół rowu, skąd ciekłe żelazo wpływało do licznych mniejszych koryt. Wyglądały jak prosiaki karmione przez maciorę i dlatego gotowy odlew zwano „świńskim żelazem”.

Giles cieszył się takim zaufaniem właściciela, że nie miał żadnych kłopotów z przeniesieniem chłopca do pracy przy piecu pudlarskim. Tu Joseph mieszał surówkę długim żelaznym drągim w trzech lub czterech korytach naraz, tak aby otrzymać jednolity stop. Radził sobie z tym tak dobrze, że już wkrótce Giles poczuł się w obowiązku go pochwalić.

– Jesteś bardzo zręczny i nadajesz się do tej pracy. Nie jesteś też kłótlivy, chyba że, jak zauważyłem, inni dokuczają ci z powodu zajęcia twojego ojczyrna. Weź przykład z pana Archera. Jest uparty, to prawda, ale wie też, że czasem trzeba ustąpić. Swoje wyroby sprzedaje z uśmiechem na twarzy i grzecznymi słówkami, nie wpycha niczego klientom na siłę, jeśli nie mają na to ochoty.

Mówił to, choć wątpił, by chłopiec przejmował się jego słowami. Życie Josepha przybrało już swój ostateczny kształt, ciekła surówka jego charakteru zdążyła skrzepnąć. Okoliczności i prości rodzice – to właśnie skazało Josepha na życie

skromne, z dala od świata. Chyba że wcześniej spotka go śmierć w jakiejś burdzie, do której mogła go wciągnąć jego porywczność.

A jednak – może dlatego, że sam stawał się coraz starszy i żałował już, że zdecydował się na życie w samotności – Giles nie przestawał zachęcać Josepha. Nie tylko uczył go, jak wytapiać żelazo, ale również przekazywał mu niezbędną wiedzę o tym metalu.

– Żelazo rządzi światem, mój chłopcze. Rozrywa ziemię i łączy kontynenty, pomaga też wygrywać wojny. – W hucie Archera wyrabiano kule armatnie dla okrętów wojennych.

Skierował szeroką, okrągłą twarz do księżycy.

– Bóg jeden wie, skąd żelazo zjawiło się na Ziemi. Ludzkość znała meteoryty już od samego początku.

– Co to takiego meteoryt, panie Hazard? – zapytał od razu Joseph.

Giles uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Spadająca gwiazda. Na pewno już taką widziałeś.

Chłopiec w zadumie skinął głową. A Giles mówił dalej o wielu rzeczach, które stopniowo – w miarę jak Joseph poznawał zawód – zyskiwały coraz bardziej na znaczeniu. Giles opowiadał o dziejach hutnictwa, o piecach istniejących w Niemczech od dziesiątego wieku, takich jak *Stückofen* czy *Flüssofen*, o *hauts fourneaux*, które pojawiły się we Francji w piętnastym wieku, o Walonach w Belgii, którzy mniej więcej przed sześćdziesięciu laty opracowali metodę przetopu surówki.

– Ale to tylko jedno tyknięcie wielkiego zegara hutnictwa żelaza. Siedemset lat temu obróbką żelaza zajmował się święty Dunstan. Powiadają, że w jego sypialni w Glastonbury znajdowała się kuźnia. Egipskich faraonów chowano z żelaznymi amuletami i ostrzami sztyletów, bo ten metal był równie rzadki i cenny, jak potężny. Czytałem o sztyletach z Babilonu i Mezopotamii, które istniały na wiele mileniów przed Chrystusem.

– Ja nie czytam zbyt dobrze...

– Ktoś powinien cię tego nauczyć – burknął Giles. – Albo mógłbyś przyswoić to sobie sam.

Chłopiec znowu skinął głową.

– Chodzi mi o to, że nigdy jeszcze nie słyszałem tego słowa, które pan wymówił. Mil... i coś tam jeszcze.

– Milenium. Milenium to tysiąc lat.

– Aha.

Błysk w oku. Giles ucieszył się, widząc, że Joseph notuje sobie tę informację w pamięci.

– Człowiek, który czyta, może nauczyć się naprawdę bardzo dużo. Nie wszystkiego, ale dużo. Mam na myśli kogoś, kto chciałby być kimś więcej niż tylko węglarzem.

Joseph zrozumiał. Znów skinął głową, bez cienia urazy.

– Czy ty w ogóle umiesz czytać? – zapytał Giles.

– O, tak. – Chłopiec umilkł na moment, patrząc na starego. Potem przyznał: – Ale tylko trochę. Matka próbowała uczyć mnie liter na Biblii. Podobają mi się opowieści o bohaterach, takich jak Samson i Dawid. Ale Windom nie chciał, aby matka mnie uczyła, no i w końcu przestała.

Giles się zamyślił.

– Gdybyś zostawał codziennie po pracy na pół godziny, mógłbym spróbować.

– Ale Windom nie...

– Kłam – przerwał mu Giles. – Jeśli cię zapyta, dlaczego przyszedłeś tak późno do domu, skłam. To znaczy, o ile w ogóle chcesz do czegoś dojść. Być kimś więcej niż zwykłym węglarzem.

– Naprawdę sądzi pan, że dam sobie radę, panie Hazard?

– A ty jak sądzisz?

– Że sobie poradzę.

– W takim razie tak właśnie będzie. Świat należy do wytrwałych, nie do porywczych.

* * *

Po tej rozmowie, którą przeprowadzili latem, Giles przez całą jesień i zimę uczył chłopca. Uczył go dobrze, tak dobrze, że Joseph nie mógł się powstrzymać, by pochwalić się swoim sekretem. Któregoś dnia, kiedy Windoma nie było w domu, bo hulał zapewne w jakiejś gospodzie, pokazał matce książkę, którą udało mu się przynieść skądś potajemnie – kontrowersyjną książkę *Metallum Martis*, napisaną przez zmarłego niedawno Duda Dudleya, nieślubnego syna piątego lorda Dudleya.

Dud Dudley twierdził w niej, że udało mu się roztopić żelazo za pomocą węgla mineralnego – albo kamiennego – co Joseph, mimo widocznego jeszcze wysiłku, zdołał przeczytać matce.

Oczy Bess zaiskrzyły się z zachwyty, ale już po chwili zmatowiały.

– Nauka to wspinała rzecz, mój synu, jednak może też doprowadzić do nadmiernej pychy. Centrum twojego życia musi być Jezus. – Nie podobało mu się to, co mówiła, zachował jednak milczenie. – W życiu liczą się tylko dwie rzeczy – uświadamiała go dalej. – Miłość do Syna Bożego i miłość do bliźniego. To właśnie taka miłość, jaką czuję do ciebie – zakończyła, tuląc go w ramionach.

Słyszał jej łkanie, czuł drzenie jej ciała. „Czas mordy” wytepił w niej wszelkie nadzieje prócz jednej: że dostanie się do raju. Pozostała jej tylko wiara w syna i Zbawiciela – właśnie tego, któremu on przestawał ufać. Było mu jej żal, ale zamierzał iść przez życie własną drogą.

Windomowi nie powiedzieli nic o lekcjach, ale od tamtego wieczoru w postawie Bess pojawił się cień dumy, co wywołało gniew męża. Pewnego letniego wieczoru, wkrótce po sprzeczce spowodowanej uporem Josepha, który nie zgadzał się przyjąć nazwiska ojczyma, chłopiec wrócił do domu i zastał matkę pobitą do krwi, półprzytomną, leżącą na brudnej podłodze. Windoma nie było. Nie chciała powiedzieć, co się stało, i błagała syna tak długo, aż przyrzekł jej, że nie spełni swych gróźb wobec ojczyma. Nienawiść narastała w nim jednak nieprzerwanie.

Kiedy kolejna jesień zabarwiła wzgórze Shropshire złotem i purpurą, postępy chłopca w nauce były już tak zadowalające, że Giles zdobył się na następny śmiały krok.

– Porozmawiam z panem Archerem i poproszę go, by pozwolił ci spędzać co tydzień godzinę z gubernierem mieszkającym w jego domu. Nauczanie synów pana Archera nie zabiera mu przecież całego czasu. Jestem pewien, że pan Archer pozwoli mu uczyć cię matematyki, a może nawet trochę łaciny.

– Dlaczego miałby na to pójść? Przecież jestem nikim.

Stary Giles uśmiechnął się i przyjaznym gestem zmierzwił mu włosy.

– Na pewno ucieszy się, że zdobędzie w ten sposób, praktycznie bez dodatkowych kosztów, lojalnego i wykształconego pracownika. To po pierwsze. Po drugie, pan Archer to bardzo przyzwoity człowiek. Kilku takich chodzi jeszcze po tym świecie.

Joseph nie bardzo mu dowierzał, ale wkrótce Giles powiedział, że Archer wyraził zgodę. Tego wieczoru chłopiec biegł do domu uradowany i tak podniecony, że zapomniał o ostrożności. Nad rzeką i wzgórzami wisiała ciężka mgła, dygotał więc na całym ciele, kiedy wreszcie wpadł do chaty. W izbie siedział Windom, brudny jak zwykle, zapijaczony. Joseph, poruszony faktem, że ktoś myśli o nim z uznaniem, zignorował ostrzegawcze spojrzenia matki i bez zastanowienia pochwalił się nowiną.

Windom nie wydawał się zbyt przejęty tym, co usłyszał.

– Na Boga, po co temu młodemu durniowi nauczyciel? – Przeszył chłopca spojrzeniem pełnym drwiny, bolesnym jak tnięcie miecza. – Przecież to prostak, taki sam prostak jak ja.

Bess miętoszyła w dłoniach rąbek fartucha. Zastanawiała się gorączkowo, jak wybrnąć z sytuacji. Śpiesznie podeszła do kominka, nerwowym ruchem sięgnęła po

pogrzebacz i strąciła go na podłogę. Joseph utkwiał wzrok w ojczymie.

– Już nie – sprostował. – Stary Giles mnie uczył.

– I czego cię nauczył?

– Czytać. Żebym był kimś lepszym.

Windom parsknął śmiechem, podłubał małym palcem w nosie, otarł go o spodnie i znowu się roześmiał.

– Strata czasu! Nie potrzeba ci książek, żeby pracować przy piecu.

– Owszem, potrzeba, jeśli chcę być bogaty jak pan Archer.

– Aha, wydaje ci się więc, że przyjdzie dzień, kiedy staniesz się bogaty, tak?

Joseph zacisnął wargi, aż zbiełały.

– Niech mnie diabli, jeśli miałbym być takim nędzarzem i głupcem jak ty! – wykrzyknął wreszcie.

Windom ryknął coś i rzucił się na chłopca. Bess przestała machinalnie mieszać w garnku przytwierdzonym łańcuchem do ściany. Z wyciągniętymi rękami podbiegła do męża.

– On nie miał nic złego na myśli, Thad! Bądź miłosierny, jak nauczał nas Jezus...

– Głupia, świętoszkowata dziwka! Zrobię z nim, co będę chciał! – wrzasnął Windom i uderzył ją w skroń.

Zatoczyła się, padła plecami na gzyms kominka i krzyknęła ze strachu. Ból zdołał jakoś zachwiać jej oddaniem wobec Zbawiciela. Otworzyła szeroko oczy, dostrzegła leżący na podłodze pogrzebacz, chwyciła go i podniosła, po czym zamierzyła się na męża. Nie zdobyłaby się na to, by go zaatakować, ale Windom wołał potraktować ten gest jak prawdziwe zagrożenie. Rzucił się na nią.

Joseph, przerażony, a zarazem rozwścieczony, zaczął szamotać się z ojczymem, ale Windom go odepchnął. Bess nadal ścisnęła w ręce pogrzebacz, była jednak zbyt wystraszona, aby cokolwiek zrobić. Windom wyrwał go jej bez trudu i na oczach chłopca uderzył ją nim dwukrotnie w głowę. Padła twarzą na podłogę, po jej policzku zaczęła ściekać krew.

Chłopiec wpatrywał się w matkę przez chwilę, a potem, nie panując nad sobą, skoczył do przodu, aby chwycić pogrzebacz. Kiedy Windom odrzucił pręt za siebie, Joseph podbiegł do pieca, szarpnął za łańcuch od garnka i oblał wrzątkiem ojczyma. Ten wrzasnął, przyciskając ręce do poparzonych oczu.

Joseph również oparzył sobie ręce, ale prawie tego nie czuł. Uniósł pusty gar i grzmotnął nim Windoma w głowę, a kiedy tamten, jęcząc, runął na podłogę, owinął łańcuch wokół szyi ojczyma i zaciskał go tak długo, aż żelazo wpiło się w ciało, a Windom przestał wierzczać nogami i znieruchomiał.

Chłopiec wybiegł przed chatę, w mgłę, i zwymiotował. Dopiero teraz uświadomił sobie, co zrobił. Zaprzagnął nagle zapłakać, pobiec, gdzie oczy poniosą, zamiast tego jednak zmusił się, by wejść z powrotem do chaty. Kiedy znalazł się w izbie, dostrzegł, że plecy matki drżą miarowo. A więc żyła!

Po wielu próbach udało mu się postawić ją na nogi. Mamrotała coś bez związku, śmiejąc się raz po raz. Otulił ją szalem i poprowadził powoli przez kłęby mgły do domu Gilesa Hazarda odległego o trzy kilometry. W drodze zachwiała się kilkakrotnie, musiał ją ponaglać, żeby szła dalej.

Giles otworzył drzwi, gderając coś pod nosem; świeca, którą trzymał w dłoni, oświetlała mu twarz. Już po chwili pomagał ułożyć Bess na swoim niskim, ciepłym jeszcze łóżku. Zbadał ją, a potem odstąpił o krok, trąc w zadumie podbródek.

– Pobiegnę po doktora – zaofiarował się Joseph. – Gdzie mogę go teraz znaleźć?

Stary Giles nie ukrywał zatroskania.

– Ona jest w tak ciężkim stanie, że nie wiem, czy lekarz zdoła jej pomóc.

Chłopiec stał jak oniemiały; po chwili z oczu popłynęły mu łzy.

– To niemożliwe!

– Spójrz na nią! Ledwo oddycha! A co do tutejszego cyrulika, to analfabeta. Jedyne, co może zrobić, to wypytać cię, jak doszło do tych obrażeń.

Stwierdzenie zawierało ukryte pytanie. Joseph wspomniał jedynie, że Windom uderzył jego matkę.

– Możemy tylko czekać – powiedział wreszcie Giles, przecierając oczy.

– I modlić się do Jezusa.

Do tych słów skłoniła chłopca rozpacz. Giles postawił garnek na ogniu, a Joseph klęknął przed łóżkiem, splótł dłonie i zaczął modlić się żarliwie, wkładając w to całą duszę.

Nic jednak nie wskazywało, by jego modły miały być wysłuchane. Bess Windom oddychała coraz wolniej, coraz słabiej, przetrwała jednak do chwili, kiedy mgła nad rzeką przerzedziła się i pojaśniała. Giles delikatnie dotknął ramienia chłopca, budząc go.

– Siądź przy kominku – powiedział, okrywając kocem poranioną, ale spokojną już twarz Bess. – Już po wszystkim. Ona szuka teraz swego Jezusa. Nic już nie można zrobić. Jeżeli chodzi o ciebie, to inna sprawa. Twój los zależy od tego, czy dasz się schwytać. – Odetchnął głęboko. – Twój ojczym nie żyje, prawda?

Chłopiec skinął głową.

– Tak też sobie pomyślałem. Inaczej nie przyszedłbyś tutaj. On by się nią zajął.

Cały ból Joseph zawarł w jednym zapalczwym okrzyku:

– Cieszę się, że go zabiłem!

– Nie wątpię w to. Ale prawdą jest też, że stałeś się mordercą. Archer nie będzie trzymał u siebie zabójcy i nie mogą go za to potępiać. Mimo to... – Głos Gilesa, do tej pory surowy, złagodniał. – Nie chciałbym też, by cię powieszono lub poćwiartowano. Co robić? – Zaczął przechadzać się od ściany do ściany. – Poszukiwany będzie Joseph Moffat, czyż nie? W porządku, a więc musisz stać się kimś innym.

Podjąwszy decyzję, Giles sporządził pismo, z którego wynikało, że jego okaziciel, Joseph Hazard, bratanek Gilesa, podróżuje w sprawach rodzinnych. Zawahał się na moment, po czym podpisał oświadczenie własnym nazwiskiem, dodał jeszcze słowa: „wuj i opiekun” i opatrzył pismo kilkoma ozdobnymi zakrętasami, które nadały mu pozory autentycznego dokumentu.

Giles obiecał, że urządzi pogrzeb Bess zgodnie z obrządkiem chrześcijańskim, wymógł też na chłopcu, aby dla własnego bezpieczeństwa nie pomagał mu w przygotowaniach do tej uroczystości i wyjechał jak najprędzej. Dał Josephowi dwa szylingi i trochę chleba zawiniętego w chustę, poradził unikać głównych dróg, po czym pożegnał go długim ojcowskim uściskiem. Wreszcie wypchnął oszołomionego Josepha Moffata na zewnątrz, na szare od mgły wzgórze.

* * *

Krocząc opustoszałą drogą w Gloucestershire, Joseph przystanął mimo woli i rozejrzał się dokoła. Noc była widna, roziskrzona tysiącami gwiazd. Na wschodzie, ponad zarysem dachu stodoły, ujrzał białą smugę, coś płomienistego, spadającego niezwykle szybko na ziemię.

Żelazo. Bóg zesłał człowiekowi żelazo, tak jak mówił Giles. Chłopiec rozumiał już, dlaczego właściciele hut są tak dumni ze swego zawodu. Było to zajęcie zrodzone i błogosławione w niebiosach.

Przejęty grozą, a zarazem czią, Joseph wpatrywał się w smugę bieli, aż zniknęła tuż nad horyzontem. Oczami wyobraźni widział olbrzymie meteoryt, tłący się gdzieś w świeżo powstałym kraterze. Z pewnością w całym procesie tworzenia nie było materiału potężniejszego niż ten. Nic dziwnego, że właśnie dzięki maszynom i urządzeniom z żelaza wygrywano wojny i pokonywano olbrzymie odległości.

Od tej pory kierunek drogi jego życia był jasno wytyczony.

* * *

Joseph kroczył śpiesznie w kierunku portu Bristol nad rzeką Avon. Ani razu nie został zatrzymany, nikt nie zażądał okazania pisma sporządzonego tak pieczołowicie

przez Gilesa. Świadczyło to chyba wyraźnie, w jakim stopniu świat troszczył się o Thada Windoma, prawda?

Joseph płakał po stracie matki, nie miał natomiast większych wyrzutów sumienia po zabiciu ojczyrna. Zrobił to, co należało zrobić; żądza zemsty szła tu w parze z koniecznością.

W drodze opadły go dziwne, nieznane dotychczas myśli; wiele z nich dotyczyło religii. Nigdy nie aprobował wiary zmarłej matki w łagodnego, wyrozumiałego i najwidoczniej bezsilnego Chrystusa, teraz jednak odkrył w sobie zainteresowanie Starym Testamentem. Bess czytała mu mnóstwo opowieści o śmiakach, którzy nie cofali się przed zuchwałymi czynami. Kiedy szedł przez pola i lasy do wielkiego portu w zachodniej Anglii, czuł się coraz bardziej związany nie tylko z nimi, ale również z Bogiem.

Po kilku nieudanych próbach odnalazł kapitana statku udającego się do Nowego Świata – tej części kuli ziemskiej, która dla wielu Anglików stawała się w tamtym czasie drugą ojczyzną. Kapitan, któremu jedną nogę zastępowała proteza, nazywał się Smollet, a jego statek – *Mewa z Portsmouth*. Przedstawiona przez niego propozycja była zupełnie jasna.

– Podpiszesz dokument, że zgadzasz się u mnie służyć. Ja w zamian zapewnię ci przejazd i utrzymanie, dopóki będziesz na pokładzie. Zawiniemy do Bridgetown na Barbadosie, potem skierujemy się do kolonii w Ameryce. Tam poszukują rąk do pracy, zwłaszcza z wyuczonym zawodem. Jeśli naprawdę znasz się na hutnictwie, jak mi powiedziałeś, nie będę miał żadnych kłopotów ze znalezieniem ci miejsca pracy.

Zerknął na Josepha znad kufła piwa, który właśnie podnosił do ust. Chłopiec nie miał do niego żalu o tak twarde warunki, przeciwnie, podziwiał go za to. Zdawał sobie sprawę, że ten, kto dąży do sukcesu, musi stale podejmować trudne decyzje. Tak samo było przecież z bohaterami Starego Testamentu, Abrahamem czy Mojżeszem. Jeśli miał obrać sobie kogoś za wzór do naśladowania, to z pewnością jednego z nich.

– No więc, Hazard, jak brzmi twoja odpowiedź?

– Nie powiedział mi pan jeszcze, jak długo musiałbym u pana służyć.

Kapitan Smollet uśmiechnął się z uznaniem.

– Niektórzy są tak podnieceni albo też skruszeni po dokonanym występku...

– Joseph zignorował ten test, jego twarz pozostała niewzruszona – że zapominają o to zapytać, a oczy otwierają im się dopiero, gdy wypływamy w morze. – Opuścił wzrok na kufel. – Umowa opiewa na siedem lat.

W pierwszej chwili Joseph chciał krzyknąć: „Nie!”. Pohamował się jednak.

Smollet wziął jego milczenie za odmowę, wzruszył ramionami i wstał, rzucając na brudny stół garść monet.

To nie byle co być uwięzonym przez siedem lat jak niewolnik, pomyślał Joseph. Mógłby jednak mądrze wykorzystać ten czas, z pożytkiem dla siebie. Mógłby uczyć się dalej, zarówno przedmiotów ogólnych, jak doradzał Giles, jak też wybranego przez siebie fachu. A po siedmiu latach stałby się wolnym człowiekiem w innym kraju, gdzie potrzebni są hutnicy i gdzie nikt nie słyszał o Thadzie Windomie.

Kapitan Smollet stał już przy drzwiach, kiedy zatrzymał go głos Josepha:

– Podpiszę.

Tego wieczoru, kiedy Joseph pędził co tchu po nabrzeżu, przy którym stała zakotwiczona *Mewa z Portsmouth*, padał deszcz. W oknach na rufie, gdzie mieszkał kapitan, dostrzegł blask światła. Jak tam widno i przytulnie! Za chwilę właśnie w tej kajucie postawi krzyżyk, podpisując w ten sposób umowę.

Uśmiechnął się, myśląc o kapitanie. Co za huncwot! Na temat przeszłości swego nowego niewolnika zadał jedynie kilka błahych pytań. Joseph, obawiając się, że Smollet cofnie ofertę, skwapliwie pokazał mu dokument sporządzony przez Gilesa. Kapitan wziął kartkę, rzucił na nią badawcze spojrzenie i powiedział z uśmiechem:

– Podróż w sprawach rodzinnych! Aż do kolonii! Coś takiego!

Spojrzeli na siebie. Smollet domyślił się, że chłopiec ucieka, ale nie przejmował się tym. Joseph podziwiał bezpardonową przedsiębiorczość kapitana. Podobał mu się coraz bardziej.

Siedem lat to wcale nie tak długo, ani się obejrzy, jak będzie już po wszystkim.

Z tą myślą zatrzymał się na schodkach wiodących do wody, zszedł trochę niżej i przytrzymując się śliskiego drewna jedną ręką, zanurzył drugą w słonej wodzie – raz, drugi i trzeci. Potem zrobił to samo drugą dłonią. Jeśli jego ciało było zbrukane krwią, to tym symbolicznym gestem zmył ją definitywnie. Teraz rozpocznie nowe życie.

W blasku okrętowej latarni obejrzał mokre palce i roześmiał się na całe gardło. Dawniej pod jego paznokciami tkwił zawsze węglowy pył. On również zniknął. Joseph, pogwizdując, wszedł na kładkę, a kiedy znalazł się na pokładzie statku Smolleta, był w radosnym nastroju. Zobowiązał się odsłużyć tu siedem lat, a jednak patrzył w przyszłość z nieznanym dotychczas poczuciem, że jest wolny.

W Nowym Świecie życie Josepha Mof... nie, Josepha Hazarda będzie zupełnie inne. Bóg już o to zadba. Jego Bogiem, w którego wierzył teraz bardziej żarliwie i który stawał mu się coraz bliższy, była siła sprzyjająca ludziom dzielnym, niecofającym się przed niczym, co trudne i ciężkie.

W ciągu ostatnich kilku dni Joseph i jego Bóg zbliżyli się do siebie tak bardzo, jak to tylko możliwe. Stali się przyjaciółmi.

Rok 1687. Arystokrata

U schyłku wiosny następnego roku po drugiej stronie oceanu, w królewskiej kolonii Karolinie, ktoś inny również marzył o zrobieniu majątku. Jednak jego ambicja przerodziła się w pasję. Wiedział już, co to bogactwo, władza i poczucie bezpieczeństwa. Ale bezpieczeństwo okazało się iluzją, a bogactwo i władza uleciały gdzieś niczym lśniący piach na plaży w Charles Town, ginący pod sztormową falą.

* * *

Charles de Main dobiegł już trzydziestki. Od dwóch lat przebywał ze swoją śliczną żoną Jeanne w kolonii. Europejczycy zasiedlali Karolinę dopiero od siedemnastu lat; całą jej białą ludność, liczącą od dwóch do trzech tysięcy osób, stanowili więc wcześniej czy później przybyli osadnicy. Wśród nich znajdowała się grupa poszukiwaczy przygód przybyłych z Barbadosu. Ludzie ci osiedlili się w wiosce Charles Town i wkrótce pod rządami angielskich lordów, arystokratów, którzy utworzyli tę kolonię jako przedsięwzięcie czysto finansowe, uzyskali pewną władzę. Niebawem osadnicy z Barbadosu zaczęli okazywać innym swoją wyższość.

Charles uważał ich za niepraktycznych głupców. Marzyli o rolniczym raj, gdzie mogliby się wzbogacić, uprawiając bawełnę, tytoń i trzcinę cukrową oraz hodując jedwabniki. Charles należał do ludzi patrzących na życie trzeźwo. Nizinne ziemie Karoliny, leżące nad oceanem, były zbyt wilgotne, aby można było myśleć o tradycyjnym rolnictwie. Klimat stawał się nie do zniesienia zwłaszcza latem; przetrwać mogli wyłącznie ci najbardziej odporni. Właściwie dobrobyt kolonii opierał się na trzech źródłach: skórze, którą handlowano w faktorii de Maina, hodowli bydła, jak również tym rodzaju bogactwa, które Charles sprowadzał z głębi kraju za pomocą broni palnej. Byli to Indianie skazani na życie w niewoli.

* * *

Charles de Main nie przybył do tej krainy mokradeł i piaszczystych wzgórz dla jej walorów geograficznych czy handlowych. Wraz z Jeanne uciekli z doliny Loary, gdzie Charles przyszedł na świat jako czternasty książę swojego rodu.

W wieku dwudziestu lat ożenił się i przejął zarząd nad winnicami należącymi do jego rodziny. Przez kilka lat życie młodej pary przypominało prawdziwą idyllę, jeśli pominie się smutny fakt, że Jeanne nie dała mężowi dzieci. Niebawem jednak religia przekazywana w rodzie de Mainów z pokolenia na pokolenie sprowadziła na nich prawdziwe nieszczęście.

Kiedy Ludwik XIV w 1685 roku unieważnił Edykt nantejski, przerwał tym samym kruchy pokój pomiędzy francuskimi katolikami i protestantami. Podobnie jak inni zapalczywi i dumni hugenoci – słowo „dumni” niektórzy Francuzi zastępowali określeniem „zdradzieccy” – Charles de Main i jego żona stanęli w obliczu szalejących w całym kraju groźnych prześladowań. Kiedy terror objawił się w pełni, każda próba opuszczenia Francji zaczęła być traktowana jak ciężkie przestępstwo, a mimo to rodzina de Mainów – dokładnie tak samo jak setki innych hugenotów – obmyślała plany ucieczki.

W wiosce leżącej u podnóża przyozdobionego wysokimi wieżami okazałego zamku de Mainów mieszkał prawnik, niejaki Emilion, który pod maską pobożności ukrywał fanatyzm i nieuczciwość. Wiedział doskonale, jakie zyski można osiągnąć w Anglii, sprzedając tam czerwone i białe wytrawne wina z posiadłości de Mainów. Z zawiścią patrzył więc na miejscowe winnice i aby wejść w ich posiadanie, przekupił jednego z parobków, który miał dostarczyć mu informacji na temat swego pana i pani.

Emilion podejrzewał, że de Mainowie podejmą próbę ucieczki, i rzeczywiście – wkrótce parobek doniósł o przygotowaniach, które potwierdzały te przypuszczenia. Wystarczyło jedno słowo prawnika przekazane odpowiedniemu urzędnikowi. Tej nocy, gdy de Mainowie zdecydowali się uciec, ich powóz został zatrzymany zaledwie pół kilometra od zamku.

Charles tulił do siebie przerażoną małżonkę, pocieszając ją czule, nie chciał bowiem, aby myślała o tym, co mogłoby ich spotkać, gdyby nie zgodzili się wyprzeć wiary. Jeden z hugenotów z sąsiedztwa, schwytany w drodze na wybrzeże, zmarł, kiedy szpada inkwizytora odcięła mu genitalia.

Młody szlachcic i jego żona spędzili w więzieniu siedemnaście dni. Torturowano ich za pomocą noży i rozżarzonego żelaza, ale żadne z nich się nie załamało, przynajmniej na zewnątrz, chociaż pod koniec Jeanne tylko krzyczała i

płakała, niezdolna już do innych reakcji.

Z pewnością zginęliby w lochu w Chalones, gdyby nie pomógł im wuj de Maina z Paryża, zręczny polityk, który potrafił zmieniać wiarę równie szybko jak jedwabne szaty. Znał kilka ważnych i wpływowych osób, których katolickie przekonania nie wpływały na zawartość ich sakiewek. Dano niezbędną łapówkę, co sprawiło, że tylne drzwi pozostały pewnego razu niedomknięte. I w ten sposób Charles i Jeanne de Main uciekli z Nantes w zęcie rozsypującej się ze starości łodzi rybackiej, która o mało nie zatonąła w burzliwych wodach kanału.

W Londynie inni hugenoci poradzili im, by wyjechali do Karoliny. Tolerancyjna pod względem wyznawanej religii kolonia stała się bezpieczną przystanią dla wielu uciekinierów. Kilka miesięcy później, już po drugiej stronie oceanu, młody szlachcic – zdeprymowany upałami i arogancją, które panowały w kolonii – zastanawiał się, czy podróż i w ogóle życie są warte takich wysiłków. Wyglądało na to, że Charles Town nie zawsze przynosi szczęście tym, którym na imię Charles. Tak przynajmniej myślał wtedy.

* * *

Niebawem uprościł swoje nazwisko, tak że brzmiało już tylko „Main”. W ten sposób zaznaczył, że od tej chwili rozpoczyna nowe życie na nowej ziemi. Zniknął też jego pesymizm. W Karolinie poczuł się wolny od większości zasad, które krępowały go, gdy nosił tytuł szlachecki. I nie omieszkał z tego skorzystać.

Przeżył już tortury – o czym świadczyły blizny na nogach i piersi – i wiedział, że przeżyje również biedę. Chciwy, podły prawnik ukradł mu ziemię i zamek, ale on zdobędzie inną posiadłość i postawi nowy, ogromny dom. Albo zrobią to jego potomkowie, o ile oczywiście ciało Jeanne da mu następcę.

Biedna Jeanne. Dziś jej szare oczy były tak czyste i piękne jak dawniej. I tylko wąskie siwe pasemko widoczne we włosach zdradzało ogrom cierpienia, których zaznała w więzieniu. Tak jak i jej słodki uśmiech małej dziewczynki oraz sposób, w jaki nuciała coś lub chichotała w odpowiedzi na wszelkie zadawane jej pytania. Niekiedy rozpoznawała męża, była jednak przekonana, że nadal przebywają we Francji. Jej umysł okazał się mniej odporny na tortury niż ciało.

Opłakany stan umysłu Jeanne nie stłumił wprawdzie jej namiętności, ale ich współżycie było bezowocne; nadal nie mieli dzieci. Ten fakt, jak również brzemię upływającego czasu sprawiały, że Charles spędził niejedną bezsenłą noc. Po trzydziestce człowiek zaczyna się starzeć, po czterdziestce może powiedzieć, że ma już za sobą długie życie.

Wysiłek, jaki włożył w utworzenie małej faktorii w pobliżu brodu na

rzece Cooper pod Charles Town, odbił się na wygładzie Maina. W niczym nie przypominał już arystokraty. Nadal był wysoki i właśnie ten wzrost sprawiał, że chodził nieco przygarbiony, ale bieda, praca i stałe napięcie odcisnęły na nim piętno. Jego uśmiech, niegdyś tak wesoły i częsty, wydawał się teraz fałszywy, a nawet okrutny, i rzadko pojawiał się na twarzy Charlesa. W jego postawie trudno byłoby się dopatrzeć dawnej dumy; bez wdzięku siedział na grzbiecie małego konia, który aż ugiął się pod jego ciężarem. Charles stał się niemal zwierzęcą parodią dawnego siebie.

Zwłaszcza tego dnia nie wyglądał jak biały. Włosy – brązowe, podobnie jak oczy – przewiązane kawałkiem czerwonej tkaniny, sięgały z tyłu do pasa. Był niemal tak samo śniady jak osiem spętanych półnagich istot ludzkich, które ślaniając się, podążały za nim gęsiego. Mimo że wiosenny poranek był niezwykle upalny, Charles miał na sobie długie irchowe spodnie i kaftan z popękanej starej skóry. Za pasem wysadzonym perłami tkwiły dwa naładowane pistolety i dwa noże, a na kolanach – muszkiet. Handlarz żywym towarem musiał być ostrożny i dobrze strzelać.

Była to już czwarta wyprawa Charlesa do osad Czirokezów koczujących u podnóża gór. Gdyby nie zajmował się sprzedażą Indian, zbankrutowałby już dawno. Niewielka placówka nad rzeką nie dawała dużych dochodów, mimo że handlarze z Charles Town kupowali od niego wszystkie skóry uzyskiwane od członków plemion, na które potem napadał.

Żaden z jego jeńców nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Siedmiu mężczyzn i kobieta; byli ładni, o śniadej skórze, gibkich ciałach i pięknych, czarnych włosach, jakich nigdy jeszcze nie widział.

Szczególnie atrakcyjna jest ta dziewczyna, pomyślał. Ma ładne piersi. Już wcześniej zauważył, że raz po raz na niego zerka. Z pewnością w łagodnym spojrzeniu jej dużych oczu kryje się pragnienie, aby poderżnąć mu gardło.

Charles jechał pierwszy, plecami do jeńców, gdyż na końcu orszaku znajdował się jego współnik, również uzbrojony. Był to potężnie zbudowany mieszaniec, spłodzony najwidoczniej przez przybyłego tu z Florydy Hiszpana. Pochodził z plemienia Yamasee, a gdy zjawił się rok temu w faktorii, mówił już trochę po francusku. Przyznał wtedy, że ma tylko jedno pragnienie: walczyć z Indianami z wrogich plemion.

Wszystko wskazywało na to, że bardzo chętnie pracuje dla Charlesa. Obszar Karoliny zamieszkiwało trzydzieści różnych plemion, z których większość organizowała przeciw sobie wyprawy łupieżcze; tym samym dla mieszańca, który nazwał się Królem Sebastianem, zawód i powołanie złąły się w jedno.

Król Sebastian miał twarz łajdaka i – jak wielu innych Indian – lubił paradować

w stroju białych. Tego dnia miał na sobie brudne spodnie do kolan, które kiedyś były różowe, oliwkowy płaszcz z brokatu, rozpięty na spoconej potężnej piersi, oraz poplamiony duży turban ozdobiony fałszywymi klejnotami.

Król Sebastian znalazł upodobanie w tym, co robił. Raz po raz popędzał konia, doganiał jeńców i dźgał muszkietem tego czy innego w pośladki. Zazwyczaj wywoływało to spojrzenie pełne nienawiści, na co mieszaniec wybuchał zjadliwym śmiechem i ostrzegał, tak jak teraz:

– Uważaj, mały bracie, bo inaczej użyję tego strzelającego kija i będzie po tobie.

– Ty też uważaj – powiedział po francusku Charles, zatrzymując konia i przepuszczając kolumnę. Spostrzegł nienawistne spojrzenia jeńców. – Chciałbym dostarczyć moją zdobycz na licytację w stanie nienaruszonym i będę ci wdzięczny, jeśli zastosujesz się do mojej rady.

Król Sebastian, który nie uznawał krytyki, wyładował gniew na jeńcach, popędzając maruderów harapem. Charles, aczkolwiek niechętnie, przymknął na to oko.

Licytacje odbywały się na pustym terenie pod Charles Town i miały charakter tajny. Handel niewolnikami był już od kilku lat uznawany za nielegalny, przynosił jednak spore zyski i dlatego zajmowano się nim w dalszym ciągu. Dodatkową atrakcją była świadomość małego ryzyka. Charles na przykład schwytał jeńców o zmierzchu przy grządce melonów, grożąc im strzelbą. Czirokezi byli nie tylko wojownikami, ale też farmerami. Zaskoczeni na swoich poletkach, zazwyczaj nie stawiali oporu. Oczywiście z pewnym niebezpieczeństwem trzeba było się liczyć.

Kilku Indian umarło wprawdzie w drodze na wybrzeże, jednak nieporównywalnie więcej czarnych sprowadzanych przez Bridgetown z Afryki ginęło podczas długiej podróży statkami przez ocean. Zresztą nie można było zająć się afrykańskim handlem, nie posiadając statku lub przynajmniej jakiegoś kapitału. A Charles miał tylko swoją faktorię, konia i broń.

Upał narastał, orszak wlokący się po piaszczystych pagórkach opadły chmury drobnych owadów. Temperatura i ciemne plamy lasów daleko na horyzoncie stanowiły dla Charlesa dowód, że zbliżają się już do równinnego wybrzeża. Jeszcze jedna noc i pół dnia i znajdują się w faktorii, gdzie, choć niechętnie, pozostawił Jeanne samą, jak zawsze, gdy wyruszał na wyprawę. Z tego powodu dręczył go niepokój. Dziś jednak było to coś więcej: Charles czuł trwogę. Znowu zauważył wzrok dziewczyny. Czyżby czekała na dogodny moment, aby dać sygnał do ucieczki? Wstrzymał konia, a potem do wieczora jechał u boku Króla Sebastiana.

Tej nocy rozpalili ognisko nie z powodu chłodu, lecz aby chronić się przed owadami. Król Sebastian objął pierwszą wartę.

Charles wyciągnął się wygodnie, trzymając na piersi broń gotową do strzału, i zamknął oczy. Walcząc ze snem, rozmyślał nad sposobem zdobycia majątku. Musi jakoś zmienić postępowanie. Jak dotąd nie mnoży kapitału, ma stale tyle samo. Samotne życie, jakie wiedli w faktorii, nie było korzystne dla Jeanne, nawet mimo stanu jej umysłu. Zaslugiwała na coś lepszego i Charles chciał jej zapewnić wygodne i dostatnie życie. Kochał ją naprawdę głęboko.

Mimo to trudno uchronić się od myśli natury bardziej praktycznej. Gdyby udało mu się zdobyć majątek, kto byłby spadkobiercą? Biedna Jeanne, której dotąd pozostawał wierny – jedyny pozytywny element jego obecnego życia – jest nie tylko obłąkana, ale również bezpłodna.

Pogrążał się już we śnie, kiedy dobiegł go brzęk kajdan. Otworzył oczy w tej samej chwili, kiedy Król Sebastian wykrzyknął coś ostrzegawczo. On również zapadał już w sen; właśnie się podnosił i wykonywał gorączkowe gesty, usiłując wycelować z muszkietu. Siedmiu Indian, szepionych ze sobą kajdanami na rękach i nogach, rzuciło się jak jeden na swoich porywaczy, pociągając ze sobą dziewczynę, trzecią w rzędzie. W ostatniej chwili przeskoczyła – chcąc nie chcąc – przez ognisko.

Zdjęty strachem Charles chwycił za jeden z pistoletów.

Jezu Chryste, spraw, aby proch był suchy mimo nocnego powietrza!

Pistolet nie wypalił. Charles chwycił za drugi.

Indianin na lewym końcu szeregu zdążył uzbroić się w kamień i cisnął nim teraz w Króla Sebastiana, który usiłował przyklęknąć i jednocześnie wystrzelić z muszkietu. Odchylił się, ale kamień ugodził go w prawą skroń. Nie było to nic groźnego, wystarczyło jednak, by – kiedy mieszaniec wreszcie wypalił – kula poszybowała w ciemność, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Jeden z napastników stawiał już bosą stopę na szyi Charlesa i udusiłby go, gdyby ten nie przeturlał się na lewy bok i nie pociągnął za spust. Pistolet na szczęście wypalił. Kula przeszła przez podbródek Czirokeza i odłupała część czaszki. Widok był tak okropny, że ostudził zapal buntowników, chociaż walka trwała. Charles musiał zastrzelić jeszcze jednego Indianina, a Król Sebastian zabił następnego, zanim czterech pozostałych odciągnęło w tył dziewczynę i zwłoki współplemieńców. Włosy jednego z zabitych musnęły głownie ogniska, zatliły się i stanęły w płomieniach.

Charles dygotał na całym ciele. Był czarny od ziemi i prochu, obryzganym krwią i mózgiem pierwszego zabitego Indianina. Na kolację przeżuł kawałek mocno

osolonej dziczyzny, teraz miał trudności z utrzymaniem go w żołądku.

Kiedy wyszedł zza krzaka, dostrzegł Króla Sebastiana, który – najwidoczniej roztrzęsiony – chłostał pozostałych przy życiu śmiałków. Mieszaniec uwolnił zabitych z kajdan, nie zadał sobie jednak trudu, aby otworzyć je kluczem, lecz użył noża. W ciemnościach gromadziły się już sępy, by zająć się zwłokami.

Król Sebastian chwycił dziewczynę za włosy i poderwał jej głowę do góry.

– Wydaje mi się, że ta dziewczka też zasłużyła sobie na karę.

Stanik jej sukienki ze skóry obsunął się nieco, odsłaniając na chwilę ciemne piersi. Charles, poruszony ich widokiem, nie mógł oderwać od nich wzroku. Piersi dziewczyny były dojrzałe i pełne życia. Spojrzała wyczekująco na Króla Sebastiana i zmieniła pozycję, tak że suknia zasłoniła ciało.

Charles pochwycił rękę mieszańca, zanim ten zdołał zadać cios dziewczynie. Jego twarz umazana krwią przypominała pokryte barwami wojennymi oblicze Czirokeza.

– To ty zasłużyłeś na karę – powiedział. – Zasnąłeś na warcie!

Król Sebastian sprawiał wrażenie, jak gdyby zamierzał rzucić się na swego chlebodawcę. Charles nie spuszczał z niego wzroku. Dziewczyna nie zrozumiała ani słowa z tego, co ten wysoki mężczyzna powiedział po francusku, domyśliła się jednak sensu. I wprawdzie zabrakło jej odwagi, aby się uśmiechnąć, ale w jej oczach pojawił się błysk wdzięczności.

Upłynęła jedna minuta. Druga. Mieszaniec w końcu trzepnął dłonią komara, który usiadł mu na karku, i odwrócił wzrok. I na tym sprawa została zakończona. Chociaż niezupełnie. Przynajmniej nie dla Charlesa. Nawet kiedy odsiedział swą wartę, kiedy znowu zmienił go Król Sebastian, nie mógł zasnąć. Bliski kontakt ze śmiercią przypominał mu, że nie ma synów. Jego trzech bracia umarli wkrótce po urodzeniu, a siostra uciekła za Pireneje, kiedy we Francji zaczęły się niepokoje. On był ostatni z rodu.

Kiedy wreszcie zasnął, miał osobliwe sny; widział w nich urodzajne pola Czirokezów, a na ich tle piersi Indianki.

* * *

Wczesnym popołudniem następnego dnia dotarli do faktorii mieszczącej się nad Cooper, jedną z dwóch rzek nazwanych tak po Anthonym Ashleyu Cooperze, lordzie Shaftesbury i jednym z pierwszych posiadaczy ziemskich w Karolinie.

Jeanne czuła się bezpiecznie i dobrze, gdy przez pół godziny wraz z Charlesem spacerowała brzegiem rzeki. On obejmował ją ramieniem, a ona paplała coś jak małe dziecko, popatrując jednocześnie na białą czapkę, stojącą nieopodal na

jednej nodze. Naprawdę zasługiwała na lepsze życie. Zasługiwała na piękny dom, pomocną służbę.

Rankiem poczynił przygotowania do wyjazdu na wybrzeże. Zamierzał wyruszyć w południe, by zawieźć na sprzedaż Indian i skóry. Jadąc na nielegalną licytację, miał – jak zwykle – omijać główne drogi, tak aby nikt nie spostrzegł ani jego, ani żywego towaru.

Na pół godziny przed wymarszem przybiegła do niego Jeanne, krzycząc coś w podnieceniu. Nie potrafił zrozumieć, o co jej chodzi, ale wkrótce pojawił się przerażony Król Sebastian. Mieszaniec usiłował coś wyjaśnić, z trudem odnajdując francuskie słowa.

– Kto nadchodzi? – przerwał mu Charles. – Panowie? Dostojnicy? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

Wystraszony Indianin skinął głową i pokazał otwartą dłoń z rozczapierzonymi palcami.

– Mnóstwo.

Charles poczuł ucisk w żołądku.

Czym prędzej zapędzili niewolników do szopy skleconej z pni palm i cyprysów. Charles gorączkowo wiązał w stajni czterech mężczyzn i dziewczynę, podczas gdy Król Sebastian kneblował im usta. Gdyby więźniom udało się wydać choćby jeden okrzyk, handel niewolnikami wyszedłby na jaw, a on – jako jego organizator – byłby zgubiony. W pałających dziwnym ogniem oczach jeńców dostrzegł nadzieję, że do tego dojdzie. Na rozkaz Charlesa mieszaniec ponownie sprawdził wszystkie kneble.

Na domiar złego okazało się, że na czele gości stoi członek władz kolonii, elegancki Anglik o nazwisku Moore. Wraz z czterema czarnoskórymi służącymi, z których jeden zdawał się mieć na wszystko oko, zwiedzał to – jak się wyraził – „przekłętę, zapowietrzoną odludzie”, rozglądał się bowiem za terenem, gdzie z dala od malarycznego wybrzeża mogłaby stanąć jego letnia rezydencja.

Moore spędził w faktorii trzy godziny, podczas których Charles siedział jak na rozżarzonych węglach. W pewnym momencie ze stajni dobiegło go jakieś tupnięcie, a potem zgrzyt łańcuchów, ale jego gość, zajęty gadaniem, nie usłyszał hałasu. Kiedy jeden ze służących dostrzegł w kącie łańcuchy i kajdany, Charles wyjaśnił śpiesznie:

– Dostałem je za pistolety od takiego podejrzanego trapera. Mówił, że jest z Wirginii. To było ostatniej jesieni i...

Moore nie patrzył już na żelastwo. Z typową dla Anglików arogancją zaczął rozwodzić się nad paskudną pogodą i prymitywnym sposobem życia na odludziu i w ogóle w Nowym Świecie. O czwartej, kiedy upał odrobinę zelżał, goście odjechali.

Charles nalał sobie całą szklanę ginu, wypił wszystko dwoma łykami, ucałował czule Jeanne i pośpieszył do szopy.

Przy drzwiach stał na straży Król Sebastian. Kiedy Charles wszedł do środka, dostrzegł wściekłe spojrzenia rzucane przez czterech jeńców na dziewczynę. Jej knebel zsunął się z ust, mogła więc krzyknąć... Wpatrywała się teraz w Charlesa z tą samą napiętą uwagą, z jaką przyglądała mu się ostatniej nocy, i raptem zrozumiał. Może zresztą rozumiał to już wcześniej, od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał, ale przez wzgląd na Jeanne, targany poczuciem winy, nie przyjmował tego do wiadomości. Obrócił się na pięcie i wybiegł na prażące słońce.

Wyglądało na to, że handel Indianami staje się zbyt niebezpieczny. Ta myśl przesładowała go jeszcze następnego ranka, kiedy wyruszał z opóźnieniem, jak również kiedy podążał bagnistymi ścieżkami. Nie opuściła go nawet wtedy, gdy dotarł na wybrzeże.

* * *

Polana znajdowała się poza palisadą otaczającą Charles Town. Miejsce wybrano niezwykle starannie: znajdowało się na tyle daleko, aby nikt niepowołany go nie odkrył, i na tyle blisko, aby nawet jadąc w ciemnościach, nie narażać się na niebezpieczeństwo. Podążając brzegiem rzeki Cooper, można tam było dotrzeć w ciągu zaledwie dziesięciu minut. Na polanie zgromadziło się już sześciu mężczyzn, których Charles scharakteryzował w duchu jako „angielskich snobów”. Byli to plantatorzy z różnych zakątków kolonii, mający nadzieję na dobre plony – spełnienie marzeń, z którymi niegdyś przybyli do Karoliny. Jak dotąd ich wysiłki nie przynosiły rezultatów. Kolonia sprawiała wrażenie chybionego przedsięwzięcia.

Mimo to w dalszym ciągu twierdzono, że życie w Karolinie jest pod wieloma względami wspaniałe. Rozprawiano na temat ostatnich plotek z miasta, chwalono też Charlesa za jego ofertę, choć nikt nie zatrzymywał się przy nim na dłużej; plantatorów raził nie tylko jego zapach, ale również pochodzenie.

Podest, na którym odbywała się sprzedaż, sklecony z pni palmowych, tonął w zadymionym świetle pochodni wetkniętych w ziemię. Licytator, jeszcze jeden szanowany dżentelmen, prowadził przetarg w zamian za niewielki procent od ogólnej sumy. Charles słyszał, że człowiek ten rozwodził się w mieście na temat zła, za jakie uważał handel indiańskimi niewolnikami. Taka gadanina nie była niczym nowym. Większość obecnych plantatorów posiadała w przeszłości przynajmniej jednego niewolnika. Nie przejmowali się moralnym aspektem zniewalania jednego człowieka przez drugiego; niepokoiła ich raczej możliwość wystąpienia utrudnień w handlu niewolnikami, gdyby w przyszłości indiańskie plemiona zjednoczyły się,

aby stawić opór. Biali obawiali się wybuchu powstania. To wszystko jednak nie przeszkodziło im przybyć tu tego wieczoru.

Przekłęci hipokryci, pomyślał Charles.

Jeden po drugim zostali sprzedani czterej Indianie, za których uzyskiwał coraz wyższą cenę. Charles stał na uboczu, a jego zły nastrój mijał, w miarę jak pykając glinianą fajkę, obliczał w myślach zysk. Zaczął przysłuchiwać się rozmowom. Jeden z plantatorów opowiadał, że zamierza wysłać swego nowego niewolnika do Indii Zachodnich, aby go zahartować. Chodziło o jego całkowite ujarzmienie, złamanie ducha. Inny dżentelmen wypowiadał się na temat ułatwień w otrzymywaniu ziemi leżącej nad rzekami i potokami.

– No tak, ale co daje samo posiadanie ziemi, skoro nie stać cię potem na opłacenie dzierżawy i nie masz wystarczających plonów, by zwróciły wkład i dały gotówkę?

– Może teraz będą dobre zbiory – powiedział pierwszy, bawiąc się niedużym, ale pękatym woreczkiem.

Reszta, zaintrygowana, skupiła się wokół nich. Nawet Charles przysunął się bliżej, nadstawiając ucha. Licytacja została przerwana, a mężczyzna z woreczkiem wyjaśnił:

– To są nasiona. Z Madagaskaru. Ten sam gatunek, który udaje się tak wspaniale w mokrych ogrodach w mieście.

Ktoś obok wykrzyknął podekscytowany:

– Czy to ten ryż, który kapitan Thurber ofiarował w ubiegłym roku doktorowi Woodwardowi?!

Thurber był kapitanem brygantyny, która stała w porcie Charles Town, oczekując na przegląd i remont. Charles słyszał już, że na pokładzie statku przywieziono ryż.

Właściciel woreczka z nasionami wetknął go pieczołowicie do kieszeni.

– Tak. Ten sam. Ryż rośnie w mokrej ziemi. Co więcej, potrzebuje jej. W mieście zupełnie oszaleli na wieść o nowych możliwościach. Wszyscy nagle zapalili chęcią kupna ziemi. Coś mi się widzi, że z tych cholernych mokradeł będziemy mieli wreszcie pożytek i zysk.

Jego sąsiad zapytał z powątpiewaniem:

– Możliwe, ale który z białych wytrzyma pracę na bagnach?

– Żaden, to jasne, Manigault. Tu potrzeba ludzi nawykłych do olbrzymich upałów i wyjątkowo ciężkiej pracy. – Przerwał na chwilę dla wywołania większego efektu. – Afrykanów. I powiem wam, że trzeba ich o wiele więcej, niż jest teraz w kolonii.

We Francji Charles Main musiał znosić prawdziwe katusze z powodu religii, którą wyznawał. Ale zakłamanie intrygantów takich jak Emilion oraz okrucieństwa, których doznała Jeanne, zniszczyły niemal jego wiarę, będącą główną przyczyną tego, że los doświadczył go tak ciężko. To jego silna wola, a nie siła nadprzyrodzona, pozwoliła mu przetrwać tortury oprawców przypalających mu ciało rozżarzonym żelazem. Toteż mimo że nadal wierzył w Najwyższego, wizerunek Boga zmienił się w jego oczach całkowicie; Bóg był istotą, którą cechowała obojętność. Nie miał żadnego planu, który zapewniałby dobrobyt wszechświata i jego mieszkańców. Może nawet w ogóle działał bez planu. Jeśli tak, to człowiek musi zdać się wyłącznie na siebie. Oczywiście nie zaszkodzi oddać Bogu cześć raz na jakiś czas, podobnie jak postępuje się ze zdzicinniałym już wujem. Ale gdy chodzi o własną przyszłość, mądry człowiek powinien wziąć los w swoje ręce.

A jednak na tej oświeślonej płomieniami pochodni polanie, w samym sercu rozległego, gęstego lasu, przepełnionego zapachem wilgotnej ziemi oraz krzykami ptactwa, z Charlesem stało się coś dziwnego. Nieoczekiwanie jego dawna wiara odżyła z wyjątkową mocą. Przez moment niemal namacalnie czuł istnienie jakiejś niezemskiej siły, która sprawiła, że przeżył ostatni okres tylko po to, aby zjawić się właśnie tu i teraz.

I w tej sekundzie podjął decyzję. Nie zainwestuje już w faktorię nawet szylinga ze swoich zarobków. Bez względu na to, ile zażądają ci pokątni doradcy za wskazanie sposobu wzięcia w dzierżawę kawałka ziemi tu, bliżej wody, zapłaci tę sumę. Dowie się jeszcze więcej na temat tych nasion z Madagaskaru. Był przede wszystkim człowiekiem zajmującym się uprawą ziemi. A skoro mógł uprawiać winogrona, może teraz zająć się ryżem.

Ale praca na polu stanowiła problem. Charles znał dobrze niewdzięczność tej ziemi. Sam nie wytrzymałby nawet miesiąca, harując zanurzony po pas w zakażonej wodzie, nie mówiąc już o aligatorach wyczekujących przy brzegu. Odpowiedź była prosta: murzyński niewolnik. Albo nawet dwóch niewolników, o ile wystarczy mu na nich gotówki.

Z wypaczoną logiką człowieka, który wie, że jest winny, ale musi znaleźć sposób, aby dowieść czegoś wręcz przeciwnego, Charles trudnił się sprzedażą niewolników, nie popierając jednak samego niewolnictwa. W głębi duszy wzdragał się przed tym procederem. Zresztą nigdy nie wiedział, jaki będzie los Indian, których schwytał i sprzedał innym. A może – usprawiedliwiał się obłudnie – otrzymywali potem wolność od dobrych właścicieli?

Teraz jednak nie mógł pozwolić sobie na takie fanaberie jak wyrzuty sumienia. Musiał mieć przynajmniej jednego zdrowego Murzyna. Była to sprawa ekonomii.

Albo oportunistu. Albo instynktu przetrwania.

Człowiek robi to, co należy zrobić.

– Panowie, panowie! – nawoływał licytator. – Te rozmowy odrywają nas od najlepszej oferty tego wieczoru!

Wszedł na podium i uniósł skórzaną suknię dziewczyny, odsłaniając jej płeć. Mężczyźni spojrzeli z nagłym zainteresowaniem.

Człowiek robi to, co należy zrobić. Charles uświadomił sobie, że ta sama zasada dotyczy problemu potomstwa. Jeśli miał zdobyć w Karolinie duży majątek – a teraz wreszcie zajaśniała iskierka nadziei, o której zapomniał już wiele lat temu – musiał przyjąć do wiadomości fakty. Nie miał najmniejszego zamiaru porzucić swej umiłowanej Jeanne. Jednak nie mógł też dłużej być tak bardzo skrupulatny w sprawie wierności małżeńskiej.

– Panowie, kto złoży pierwszą propozycję? Oto mamy tu urodziwą Indiankę. Kto zapłaci...?

– Stać! – Wymachując rękami, Charles zaczął przeciskać się przez tłum.

– O co chodzi, Main? – zapytał licytator, podczas gdy ludzie odepchnięci na bok ostentacyjnie otrzepywali sobie ubrania i wymieniali ironiczne uwagi za plecami Charlesa. Może i jest protestantem, ale przede wszystkim grubianinem. No ale czego się spodziewać po Francuzie?

Stojąc prosto, jak niegdyś, Charles spojrział na zaskoczonego, nieco zirytowanego licytatora.

– Zmieniłem zamiar. Ona nie jest na sprzedaż.

Z wolna przeniósł wzrok na dziewczynę. Licytator opuścił jej suknię. Duże oczy Indianki niemal przeszywały twarz Charlesa. Zrozumiała.

* * *

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że lepiej nie próbować wynajmować pokoju w domu noclegowym w Charles Town. Nawet w tych najpodlejszych zajazdach na skraju półwyspu, gdzie obie rzeki stykały się i wpływały do oceanu, nie udzielono by gościny białemu i Indiance, która nie jest jego niewolnicą. Wyszukał więc ustronną polanę niedaleko palisady. Tam, nie bacząc na węże i owady, rozłożył koce, umieścił broń w zasięgu ręki, ułożył się obok dziewczyny w tej gorącej, wilgotnej ciemności i posiadał ją.

Znał jedynie kilka słów w jej języku, ale żadne z nich nie zaliczało się do czułych. Indianka zdawała sobie sprawę z jego żądzy, ale i ona go pragnęła. Poczuci jego usta na swoich, jego dłoń na swoim łonie – za tym tęskniła niemal od pierwszej chwili. Widział to w jej oczach, ale nie potrafił pojąć.

Charles był znakomitym kochankiem, czułym wtedy, gdy było to potrzebne. Nie zapomniał jeszcze niezawodnych, wyrafinowanych pieścizot – zawdzięczał to wiernej i spragnionej uczucia żonie. Sposób, w jaki się kochali, wkrótce się zmienił. Powolny, leniwy rytm ustąpił miejsca ruchom szybszym, bardziej celowym. Ich podniecenie wzrastało. Błogi letarg przerodził się w namiętność wręcz szaleńczą. Leżąc na mokrej, żyznej ziemi, pośród setek brzęczących i piszczących stworzeń, pod niebem usianym tysiącami gwiazd, tulili się do siebie.

Tej nocy zasiał swoje nasienie równie planowo, jak zamierzał wsadzać w ziemię sadzonki ryżu, którego zbiory miały stworzyć w przyszłości majątek Mainów.

* * *

W owym czasie Charles Town składało się z niespełna stu prostych domów i kilku sklepów. Wielu przybyszów z Barbadosu rozważało możliwość wzniesienia przestronnych, przewiewnych budowli, typowych dla ich ojczystej wyspy. To wymagało jednak lepszej sytuacji finansowej i korzystnych widoków na przyszłość. Unosząca się nad miastem aura dobrych manier i dużych pieniędzy była tylko pozorna.

Jednak rankiem następnego dnia Charles odniósł inne wrażenie. Dzień był pogodny, słoneczny, od portu wiał rześki północno-wschodni wiatr. Charles podążał wolnym krokiem, kierując się w stronę nabrzeża; za nim szła dziewczyna. Nie mógł nie zauważyć pogardliwych spojrzeń mijanych ludzi. Utrzymywanie kontaktów seksualnych z kolorowymi, Indiankami czy Murzynkami, było dopuszczalne, nie należało się jednak z tym afiszować.

Pełne potępienia miny dżentelmenów sprawiły, że jego myśli wkrótce pobiegły innym torem. Większość mieszkańców Karoliny podchodziła do spraw rodowodu w sposób piekielnie snobistyczny. Gdyby dowiedziano się, że spłodzone przez niego dziecko jest w połowie Czirokezem, ani on, ani jego potomek nie zostaliby zaakceptowani przez miejscową społeczność, niezależnie od tego, ile by miał pieniędzy i jak nieskalana była rasa jego przodków.

Śpiesznie obmyślił plan działania. Wiedział, że zapłodnił Indiankę, i zamierzał zająć się tą sprawą. Kiedy ciąża zacznie być widoczna, zadba o to, aby ukryć dziewczynę na odludziu, w chacie, gdzie nie ujrzy jej nikt prócz niego i może Króla Sebastiana. Wyjaśni jej, że dzięki temu będzie bezpieczna.

Następnie powie Jeanne, że chciałby zaadoptować chłopczyka. Ani przez chwilę nie wątpił, że Indianka da mu syna, był również pewien, że zdoła opanować jej furię po odebraniu dziecka. Był mężczyzną, a dokładniej – białym mężczyzną, a to oznaczało, że racja jest po jego stronie. W ostateczności mógł użyć przemocy.

Niewiele było sposobów zapewnienia ciągłości jego rodu i bezpieczeństwa potomkowi noszącemu jego nazwisko, do których by się nie posunął.

Później mógł przedstawiać dziecko jako osieroconego syna siostry. Pomysł zelektryzował go do tego stopnia, że nie zdołał ukryć podniecenia. Dziewczyna szła teraz u jego boku i dostrzegła twardego uśmiech, który pojawił się nagle na jego twarzy i tak samo raptownie zniknął. Widząc pytający wzrok Indianki, dotknął delikatnie jej ramienia i spojrzał tak, że uspokoiła się natychmiast. On również zaczął oddychać normalnie, nie tak szybko i głośno jak przed chwilą. Ruszyli dalej.

Zaczął dopytywać się o statki, które przywoziły Afrykanów na sprzedaż, i dowiedział się, że w ciągu najbliższych trzech tygodni żadna jednostka handlowa nie zawinie do portu. Jedyne statki przy nabrzeżu zasługujące na uwagę należały do kupca z Bridgetown i miał na pokładzie kilku pasażerów. Nazywał się *Mewa z Portsmouth*.

Charles minął grupę pięciu młodych ludzi, najwidoczniej zafascynowanych niewielkim portem. Takich jak oni widywał już wcześniej. Chłopcy okrętowi. Wyglądali na przygnębionych, wszyscy prócz jednego: przysadzistego, barczystego młodzieńca o jasnobrązowych włosach i oczach przywodzących na myśl kryształki lodu połyskujące w słońcu. Poruszał się dosyć buńczucznie. Szli naprzeciw, spojrzeli więc na siebie tylko przelotnie. Młodzieniec zdumiał się nieco na widok mężczyzny w prostym odzieniu i z okazałą brodą, ale o arystokratycznej postawie, a dawny handlarz niewolnikami i przyszyły właściciel niewolników zastanawiał się, co mogło skłonić młodego człowieka do dobrowolnego oddania się w tak poddańczą służbę.

Przez nadburcie statku wychylił się jakiś marynarz.

– Wracać na pokład, chłopcy! – zawołał. – Nadchodzi przyływ! W Penn's Town jest więcej rzeczy, na które możecie wybałuszać gały!

Czym prędzej pobiegli z powrotem na statek, a wysoki arystokrata powoli zniknął w tłumie. Idąca za nim Indianka nie spuszczała ze swego towarzysza pełnych zachwyty oczu. W promiennym blasku poranka obaj mężczyźni momentalnie o sobie zapomnieli.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).